

## W POWSTANIU

Pierwsze strzały powstańcze powitały mnie na Krakowskim Przedmieściu w pobliżu pomnika Mickiewicza. Było to popołudnie, jechałem właśnie tramwajem z Żoliborza, gdzie mieszkałem, do Śródmieścia na odprawę pracowników Departamentu Informacji, zwołaną na godzinę 17. Tak więc kierownictwo resortu informacji w Delegaturze Rządu jeszcze w dniu 1 sierpnia nie orientowało się, kiedy powstanie wybuchnie... Słyszając strzały, zrazu pojedyncze, a później już całe ich serie, widząc wyraźny niepokój na Krakowskim Przedmieściu i biegających ludzi, wysiadłem z tramwaju i udałem się szybkim krokiem na pobliską ulicę Bednarską, gdzie w kamienicy pod nr 23, w mieszkaniu Zdzisława Marcinkowskiego, znanego warszawskiego artysty-fotografa, nasza komórka DI miała swój własny punkt kontaktowy i swoją melinę (córka fotografa, Maria Marcinkowska, należała do naszej siatki organizacyjnej).

Pierwsze radosne godziny i dni powstania przeżyłem u państwa Marcinkowskich czekając niecierpliwie na możliwość przedarcia się do centrali DI, z którą na razie nie miałem żadnego kontaktu, nie wiedziałem nawet, gdzie się znajduje. W podobnym położeniu znalazła się Bronisława Staszek Polankówna, słynna przed wojną mistrzyni narciarska. Wybuch powstania uwięził również i ją w mieszkaniu Marcinkowskich, z którymi się przyjaźniła i gdzie przebywała w dniu 1 sierpnia. Jak to w życiu się składa... Nie znałem się dawniej z Bronką, mimo że oboje pochodzimy z Zakopanego, z bliskich sobie rodzin góralskich — trzeba było dopiero krytycznej godziny 17 — godziny „W” — w dniu 1 sierpnia w Warszawie, żebyśmy się spotkali i wspólnie przeżywali pierwsze, niezapomniane, pełne uniesienia i entuzjazmu dni powstania. W tym czasie bowiem dzielnica, w której przebywaliśmy, była w rękach powstańców, z wielu domów zwisały biało-czerwone sztandary, megafony nadawały komunikaty dowództwa AK i pieśni żołnierskie, podwórzami przebiegali chłopcy i dziewczęta z biało-czerwonymi opaskami, niektórzy z bronią w rękę, inni z ulotkami i gazetkami, na murach domów pojawiły się plakaty z ode-

zwami podpisanymi przez Delegata Rządu na Kraj, Przewodniczącego Rady Jedności Narodowej i Dowódcę AK. Nie byliśmy wtedy na linii frontu, ale na wąskiej i spadzistej ulicy Bednarskiej padali co pewien czas ludzie od kul „gołębiarza”, nie wiadomo gdzie usadowionego. Pamiętam, z jakim wzruszeniem patrzyliśmy ze strychu kamienicy na biało-czerwony sztandar zatknięty na wypalonej, ale jeszcze panującej nad okolicznymi domami wieży Zamku Królewskiego.

6 sierpnia przybyły na Bednarską dwie łączniczki z AK, żeby Bronkę i mnie przeprowadzić do naszych baz w Śródmieściu. Dla mnie tą bazą był, jak się okazało, hotel „Royal” przy Chmielnej; żeby przebyć tę drogę, trzeba było przechodzić w paru miejscach pod silnym ostrzałem bunkrów niemieckich. Jedną z dziewcząt, które nas wtedy prowadziły, była dzielna łączniczka z DI, która z chwilą wybuchu powstania przeszła do szeregów walczących, Magdalena Rudowska, „Basia”. Przechodziliśmy nocą, co miało nawet swój urok — kto wędrował tą porą przez walczącą stolicę, pod niebem czerwonym od pożarów, w ciszy przerywanej co chwila strzałami i wybuchami, ten wie, ile w tym było groźnego romantyzmu — najbardziej jednak emocjonujące chwile przeżyaliśmy przy przebieganiu ulicy Karowej, a potem Nowego Światu. Obie te ulice były pod gęstym ostrzałem, należało jakoś wyczuć moment bezpieczny... Na polecenie łączniczek zdjęliśmy buty i cicho, w skarpetkach, żeby nie robić najmniejszego hałasu, przebiegliśmy na drugą stronę.

Działo się to w nocy z 6 na 7 sierpnia, a już 8 sierpnia Niemcy zajęli ulicę Bednarską gotując ludności polskiej tam zamieszkałej ten sam los, który był udziałem mieszkańców innych dzielnic zajętych w walce z powstańcami. Zdzisław Marcinkowski, mimo podeszłego wieku, został wywieziony do Oświęcimia i słuch po nim zaginął.

Stawiłem się tedy 7 sierpnia w hotelu „Royal”, w którym zgrupowali się bez mała wszyscy pracownicy Departamentu Informacji, z wyjątkiem tych, których działania powstańcze odcięły od Śródmieścia. Po aresztowaniu Kiryła Sosnowskiego kierował Sekcją Informacji i Propagandy DI Witold Pomykaj, który urzędował już od paru dni w „Royalu” z całym sztabem ludzi obsługujących powstańczą prasę i radio. Zadanie informacyjne przejął na siebie kierownik Polskiej Agencji Telegraficznej, znakomicie spisujący się na tym stanowisku Stanisław Ziemia z sekretarzem Alojzym Męclewskim, służbą informacyjno-propagandową kierował Stanisław Roskosz, któremu nieodłącznie ja pomagałem. Był z nami również Zbyszko Bed-

norz, bardzo aktywnie zaangażowany w publicystyce powstańczej, współpracujący z powstańczym radiem. Razem z nami mieszkali i pełnili swoją służbę w „Royalu” maszynistki i reporterki, z których wyróżniały się swoją odwagą i aktywnością Ewa Szumańska (po wojnie artystka teatralna i pisarka) i Janina Wierzyńska Krusche, córka dziennikarza Hieronima Wierzyńskiego, a bratanica Kazimierza Wierzyńskiego. Pełniły dalej swoją służbę łączniczki DI, również zgrupowane razem z nami, pod kierownictwem ofiarnej Stefanii Cieślińskiej, „Róży”. Nieocenione usługi jako fotoreporter oddawał nam Franciszek Myszkowski, „Okulista”, należący już od dawna do pracowników DI, a teraz docierający z aparatem na najbardziej niebezpieczne odcinki frontu powstańczego.

Główne moje zadanie polegało na dostarczaniu materiału publicystycznego, a także reporterskiego do redagowanego przez Roskosza serwisu dla prasy i radia, dostarczanego w maszynopisach do kilkunastu redakcji pism powstańczych. Zanim jednak wciągnąłem się w tę robotę, musiałem już nazajutrz po przybyciu do hotelu „Royal” wykonać zadanie, które spadło na mnie zupełnie nieoczekiwanie, a wymagało wielkiego skupienia i wewnętrznej mobilizacji. Pod wieczór 8 sierpnia zjawił się w „Royalu” dyrektor DI Stanisław Kauzik i przekazał Pomykajowi i mnie następujące polecenie: do godziny 6 rano musi być gotowy tekst przemówienia, jakie ma jutro wygłosić przez radio do społeczeństwa Warszawy Delegat Rządu na Kraj. Sprawa jest rangi najwyższej, niczego tu nie można ryzykować, wobec tego on, Kauzik, musi mieć rano teksty dwóch przemówień: jeden napisany przez Pomykaję, drugi przeze mnie. Mamy obaj pisać w pierwszej osobie. Który tekst będzie lepszy, ten zostanie zaakceptowany, ewentualnie z obu tekstów sfabrykuje się jeden.

Przekazawszy nam to polecenie, w tych okolicznościach bezdyskusyjne, wyjaśnił nam Kauzik naprędce, dlaczego sprawa jest taka pilna. Minął już tydzień powstania, a nie było jeszcze — poza krótką odezwą wzywającą do walki o wyzwolenie stolicy — żadnego zasadniczego przemówienia Delegata Rządu, którego społeczeństwo ma prawo oczekiwać. Różne okoliczności stały temu na zawadzie, ale dłużej już zwlekać nie można.

Pamiętna to była dla mnie noc, kiedy razem z kolegą Pomykajem, przy dwóch stołach, pisaliśmy owe teksty. Nadeszła dla publicysty chwila osobliwa... Trzeba było dać z siebie wszystko, żeby stanąć na wysokości zadania, nie zawieść zaufania okazanego w takim momencie! Za oknami łuny i dymy nad miastem, na barykadach trzepocą biało-czerwone

sztandary, po podwórkach grzebie się ciała młodziutkich powstańców... To nie referent od „propagandy emocjonalnej”, ale ktoś inny powinien był tej nocy trzymać pióro w rękę i dawać świadectwo prawdzie. Ten, który Warszawie dedykował słowa:

O! ty, młodości mej stolico;  
Z bruku twego radbym mieć kamień,  
Na którym krew i iza nie świecą!

O godzinie 6 rano przyszedł Kauzik, odebrał oba teksty i szybko się z nami rozstał. W kilka godzin później przechodziłem którąś z ulic, gdy nagle z megafonu rozległy się słowa: „Uwaga, uwaga! Za chwilę wygłosi przemówienie Delegat Rządu na Kraj, wicepremier Rządu Rzeczypospolitej”. Przystanąłem pod murem, serce poczęło mi mocniej bić... Z megafonu, wokół którego zgromadziło się sporo ludzi, płynęły słowa, dobrze mi znane słowa, których kształtowaniu poświęciłem całą ubiegłą noc, moją trudną, ale i piękną — choć tylko z piórem w rękę przeżytą — noc powstańczą.

Rodacy!

*Po pięciu latach nieprzerwanej walki z okrutnym okupantem — latach najcięższych doświadczeń i cierpień — nadeszła chwila ostatecznego z nim porachunku. Naród polski, który pierwszy stanął do boju z nawałą germańską i tyranią hitlerowską, a podjął tę walkę mimo olbrzymiej przewagi wroga, nigdy nie przerwał swych zmagañ z najeźdźcą ani nie ugiął się wobec przemocy. Za wolność walczyli i walczą żołnierze polscy na obczyźnie, o wolność, honor i ojczyznę walczył żołnierz Polski Podziemnej przez cały czas okupacji. Polska była i jest jedynym krajem na kontynencie europejskim, w którym nie znalazł się nikt, kto by poszedł na ugodę z Niemcami. Naród polski jest jedynym narodem, który w ciągu tej wojny wytrwał w całkowitym zjednoczeniu, wierny swoim naczelnym władzom w Londynie.*

Rodacy, w dniu 1 sierpnia 1944, stolica Polski, bohaterska Warszawa, rozpoczęła na rozkaz mój wydany wspólnie z Przewodniczącym Rady Jedności Narodowej i Komendantem AK święty bój o wolność. Osiem dni nadludzkich walk Warszawy dowiodło, że jest ona wierna dawnym tradycjom powstańczym, gotowa do największych ofiar z życia i mienia. Oddziały Armii Krajowej opanowały, łamiąc opór nieprzyjaciela, większą część stolicy — niemal na wszystkich głównych gmachach powiewają już polskie biało-czerwone sztandary. Stało się tak dla-

tego, że rozkaz wybuchu powstania wyzwolił w duszach całej ludności Warszawy tłumiony dawno entuzjazm do walki z barbarzyńskim wrogiem i wzmocnił ufność w pełne zwycięstwo. Z głębokim podziwem i pełnym uznaniem patrzę na bohaterские oddziały Armii Krajowej, w których walczą ramię w ramię robotnicy, rzemieślnicy, inteligenci i chłopci, walczą bohaterско nawiązując do najlepszych tradycji żołnierskich wszystkie stany, a przy boku oddziałów AK i pod jej kierownictwem oddziały wojskowe wszystkich ugrupowań politycznych bez wyjątku. Przy boku żołnierzy ofiarnie spełniają swe obowiązki podziwu godne oddziały sanitarne, łączności i inne, w szeregach których bohaterско stanęły do ciężkiej i niebezpiecznej służby kobiety, dziewczęta i chłopcy. Z wielkim uznaniem patrzę na społeczeństwo całe, które spiesząc z ofiarną pomocą walczącym, stało się zapleczem Armii Krajowej. Barykady, bezpieczeństwo, szpitale, pomoc żywnościowa, obrona przeciwpożarowa, organizacja kolportażu i poczty — oto wasz wiekopomny wkład do walki wyzwoleniczej o Polskę.

Polityczna jedność całego narodu okazała się w obecnym momencie raz jeszcze w całej pełni. Deklaracje stronnictw politycznych, wzywające do walki z odwiecznym wrogiem w szeregach Armii Krajowej pod kierownictwem prawowitych władz Rzeczypospolitej, są tego dobitnym wyrazem.

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej składam hołd żołnierzom, którzy od tyłu dni prowadzą zaciekle, niezłomny bój o wyzwolenie stolicy. Najgłębszą wyrażam wdzięczność wszystkim mieszkańcom Warszawy, którzy z entuzjazmem i ofiarnością niosą pomoc walczącym.

Cała Warszawa jest w tej chwili jednym warownym obozem, w którym wszyscy podporządkowali się kierownictwu powstania wykazując dyscyplinę moralną i heroiczną postawę.

Walka o wyzwolenie stolicy toczy się w ciężkich warunkach. Niemcy stosują metody terroru i gwałtu jeszcze stokroć okrutniejsze, niż je stosowali w latach okupacji. Gwałcą prawo międzynarodowe odmawiając traktowania żołnierzy AK jako kombatanatów, rozstrzeliwują zakładników, używają polskich kobiet i dzieci do osłony czołgów i rozbierania barykad, palą z powietrza i ziemi całe dzielnice. Mimo tego terroru, prób spalania całego miasta, mimo przewagi technicznej okupanta, pomimo tego, że walczymy sami, słabo uzbrojeni, nie otrzymawszy dotąd istotnego wsparcia z żadnej strony, mimo ogromnych ofiar i strat — Warszawa będzie utrzymana w polskich rękach. Warszawa wierzy, że Naród polski wywalczył sobie swym zbrojnym wysiłkiem i niezłomnym oporem wobec okupanta

prawo do pomocy ze strony Sprzymierzonych Narodów i wierzy, że ta pomoc nadejdzie już rychło.

Bój o Warszawę, rozpoczęty w dniu 1 sierpnia 1944 roku (...) to początek ostatniego etapu naszych zapasów z germańskim najeźdźcą o całkowite wyzwolenie Polski oraz walk o całość i zjednoczenie Rzeczypospolitej demokratycznej, przebudowanej społecznie, opartej o masy pracujące wsi i miast.

Obywatele stolicy! Zwiększcie swój wysiłek w służbach pomocniczych i opiekę nad bezdomnymi i głodnymi. Niezlomny Twój duch, Warszawo, musi zwyciężyć!

Już bliski jest dzień rozstrzygnięcia, dzień naszej wolności, dzień druzgocącej klęski Niemiec, a triumfu prawa i sprawiedliwości.

*Cześć poległym za Ojczyznę!*

*Cześć walczącym o wolność!*

*Niech żyje Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska!*

Po ostatnich słowach rozległy się dźwięki hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła”, którego słuchaliśmy w skupionym milczeniu, z odkrytymi głowami. Nazajutrz, 10 sierpnia, tekst tego przemówienia został opublikowany na pierwszej stronie „Rzeczypospolitej Polskiej” pod tytułem: „Niezlomny Twój duch. Mowa Delegata Rządu na Kraj”.

Przemówienie, którego Warszawa wysłuchiwała 9 sierpnia, nie było faktycznie wygłoszone przez Delegata Rządu Jana Stanisława Jankowskiego, bo przebywał on wtedy na Starówce i dopiero w nocy z 25 na 26 sierpnia przeprowił się kanałami do Śródmieścia. Wygłosił je w zastępstwie zapewne sam Kauzik (lub ktoś z jego otoczenia), który też musiał dokonać ostatecznej redakcji. Została ona oparta w zasadzie na moim tekście, ale również i Witold Pomykaj miał w niej swój udział, gdyż pewne partie jego projektu, trudne dziś do ustalenia, zostały przy ostatecznej redakcji wykorzystane. W każdym razie pierwsza połowa przemówienia, a także zakończenie są mojego pióra, rozpoznaję doskonale nie tylko swój styl, lecz również całe zwroty i zdania, w które włożyłem wszystko, na co mnie było wtedy stać.

Dużo wysiłku kosztowało mnie również napisanie wstępnego artykułu do Agencji Informacyjnej „Kraj”, przeznaczonej dla całej prasy powstańczej, nie zobaczyłem go jednak w druku, ponieważ drukarnia, której to pismo było przydzielone, została zbombardowana i „Kraj” w czasie powstania już się nie ukazał.

Około 10 sierpnia Sekcja Informacji i Propagandy DI za-

częła urzędować w małej dwupiętrowej kamienicy przy ulicy Moniuszki, gdzie pracowaliśmy za dnia mieszkając nadal w „Royalu”. Tam właśnie na Moniuszki uchwycił nas ktoś na fotografii, która została zamieszczona w albumie „Dni Powstania” (wydanym przez Instytut Wydawniczy „Pax” w 1957 roku, s. 200), widać na niej Ewę Szumańską, Roskosza i mnie przy lekturze prasy powstańczej. Żartowaliśmy sobie z niektórych kolegów, że urzędują jak za najlepszych, przedwojennych czasów, że trzeba się u nich meldować przez sekretarki, żartowaliśmy do czasu... kiedy pociski „szafy” (jak nazywano pociski moździerzka salwowego) spaliły na naszych oczach dwie koleżanki. Stały właśnie przy oknie, kiedy straszliwa ta broń — pierwszy raz wtedy widzieliśmy z bliska skutki „szafy” — zważonej również „krową” — trafiła ukosem w otwarty balkon, przy którym znajdowały się na dobitkę butelki z benzyną. Dziewczęta biegly płonąć i wołając ratunku, ogień udało się dopiero wygasić piaskiem. Spalone do czarnej skóry, przeniesione do powstańczego szpitala, zmarły w męczarniach. Jedną z nich była Halina Beisertówna („Kasia”), łączniczka z Dł. Kiedy chowaliśmy ją na pobliskim podwórku, przemówił nad grobem dyrektor Kauzik, „Rzeczpospolita Polska” pożegnała „Kasię” nekrologiem, a pismo „Dzień Warszawy” (z dnia 17.VIII.1944) uczciło jej pamięć wspomnieniem:

#### Ś P. K A S I A — Halina Beisertówna

*Przez 5 długich, ciężkich lat konspiracji była Kasia zawsze na swym posterunku pracy cywilnej dla Departamentu Informacji, jak żołnierz niestrudzona i nieustraszona, choć tak młoda, a przecież mocna jak stal, zawsze pogodna, czynna i koleżeńska. Kochaliśmy Ją wszyscy całym sercem. I w samo serce ugodził nas pocisk niemiecki, który Ją zabił. Nie umiemy, nie możemy pogodzić się z myślą, że już nigdy do nas nie przyjdzie — miła, dobra, uśmiechnięta Kasia. Jakiś straszliwy bunt ogarnia przeciw niesprawiedliwości, która nie pozwoliła Jej doczekać wyzwolenia Polski, Ojczyzny, na którą nikt sobie rzetelniej od Niej nie zasłużył.*

*Żegnaj, Kasiu — drogi, najlepszy Kolego! Żegnaj!*

Zrujnowany „szafa” lokal na Moniuszki nie nadawał się do użytku, przenieśliśmy się na ulicę Warecką — a potem wędrowaliśmy jeszcze kilka razy. Ale to już nie była ta radosna i pełna entuzjazmu służba z pierwszej połowy sierpnia, kiedy kosztem walczącej do upadłego i niszczonej do ostatniego człowieka i kamienia Starówki my w Śródmieściu czuliśmy się

stosunkowo bezpieczni i swobodni, kiedy biało-czerwone flagi na stojących jeszcze cało domach i rozbrzmiewające narodowymi piosenkami megafony podnosiły na duchu na równi z meldunkami o sukcesach na poszczególnych odcinkach walk. Przeżywalimy i my w owym czasie naloty bombowców, ostrzeliwanie pociskami artyleryjskimi i „szafami”, ale nie były one jeszcze w tym rejonie miasta tak skomasowane jak potem, można było jeszcze jako tako poruszać się po ulicach, ba, mieliśmy wtedy jeszcze wodę bieżącą i światło elektryczne...

W tym samym czasie koledzy nasi z „Ojczyzny” i z Departamentu Informacji działający na Starówce dzielili los mieszkańców tej części miasta. Edward Serwański tak opisuje warunki, w jakich Edmund Męclewski („Andrzej”) wraz z Adamem Polem („Kubą”), Juliuszem Kolipińskim i braćmi Trzcinińskimi redagowali pismo batalionu „Kiliński” — „W walce”:

*6 sierpnia został zbombardowany Hotel Rzymiski i podpalony pałac Pod Wiatrami. Pałac ratowano z trudem. W czasie kiedy cały gmach płonął i wszyscy byli zajęci akcją ratowniczą, gaszenia i ewakuowania wśród wielkiego niebezpieczeństwa, miałem możliwość obserwować pracę redakcji „W walce”. Już dojście do redakcji i drukarni, rozlokowanych w kilku salkach pałacu, było trudne ze względu na walące się z góry dachówki, pękanie i padanie szkła i palących się głowni, odpadającego tynku, gęstego gryzącego dymu. Dostawszy się przy zachowaniu bardzo wielkiej ostrożności do wnętrza pałacu zdumiony byłem po prostu, kiedy zauważyłem, że w zadymionej redakcji, pełnej żaru od ognia, huku i trzasku walących się części dachu, najspokojniej siedzieli przy stołach: redaktor „W walce” — Andrzej i jego najbliższy współpracownik z Sekcji Zachodniej (referat polityczny) — Kuba i pisali artykuły.*

*Na tle palącego się pałacu, bieganiny, akcji ewakuacyjnej i liczenia się, że lada chwila pałac zawali się, praca tych ludzi urosła u mnie do symbolu odwagi, opanowania, spokoju i wręcz bohaterstwa.\**

Nie zapomnę dnia — było to pod koniec sierpnia — kiedy do nas, wciąż jeszcze mieszkających i częściowo urzędujących w hotelu „Royal”, przedarł się kanałami ze Starówki „Andrzej” ze swoimi ludźmi, równie jak on obszarpanymi i śmierdzącymi, w stanie wyczerpania, choć w gotowości do dalszej akcji.

---

\* Edward Serwański: „Życie w powstańczej Warszawie”, Warszawa 1965.



Kiedy zobaczył, jak nam się powodzi — o ile pamiętam, były to ostatnie dni, kiedy mieliśmy jeszcze wodę w kranach i światło elektryczne — powiedział tylko: „No, to wy jeszcze nie wiecie, co to jest powstanie”.

Mieliśmy się o tym niebawem przekonać, choć nie w tych piekielnych, dantejskich wymiarach, co mieszkańcy Starówki. Po zagładzie tej dzielnicy Niemcy przypuścili generalny szturm na Śródmieście. Ratowała wielu z nas tylko planowość, z jaką Niemcy działali: kiedy upatrzyli sobie w danym dniu określony wycinek miasta, jakiś większy czworobok ulic, to od rana do wieczora obkładali go pociskami wszystkich rodzajów, samoloty zrzucały bomby dość dokładnie w ten rejon, a nie inny. Ustawicznie patrząc w niebo i obserwując kierunek nadlatujących samolotów można było na czas przebiec o kilka ulic dalej i wydostać się z niebezpiecznego kręgu. Również i pociski artyleryjskie o potwornej sile zniszczenia można było jakoś „oszukać” dzięki temu, że nie padały jeden po drugim, ale w pewnych, parominutowych odstępach czasu — jeśli taki pocisk spadł w pobliżu, uciekało się z tego miejsca jak najszybciej i jak najdalej, bo wiadomo było, że Niemcy będą „planmässig” ostrzeliwać właśnie to miejsce i jego najbliższe otoczenie. Ileż razy w czasie powstania uniknąłem śmierci — ja i moi koledzy, moje koleżanki — tylko dzięki temu wyrachowaniu, tym ucieczkom, nieraz w ostatnich sekundach, z miejsc skazanych na zagładę. Gorzej było z „szafami”, które w sześciu błyskawicznie po sobie następujących salwach spadały na jakiś dom lub podwórze, paląc dokoła wszystko — kiedy jednak po usłyszeniu pierwszego zgrzytu czy ryku mózdzierza (stąd nazwa „szafy” lub „krowy”) uskokzył człowiek momentalnie w najbliższą sień lub klatkę schodową, miał szansę na ratunek. Nie było tylko żadnych szans przy granatach, które zniemacka rozrywały się to tu, to tam...

Sytuacja w tej części Śródmieścia, w której działaliśmy — to znaczy w rejonie Chmielnej, Jasnej, placu Napoleona — stawała się coraz krytyczniejsza, wobec czego 1 września przebiegliśmy przez Aleje Jerozolimskie, znajdujące się pod silnym ostrzałem, na południową stronę Śródmieścia, w okolice Wspólnej, Kruczej, Mokotowskiej. Ale i tu każdy dzień przynosił zmianę na gorsze, bo zawęził się bardzo teren opanowany przez powstańców i ataki artylerii, lotnictwa i mózdzierzy salwowych wzmagaly się z godziny na godzinę. Bywały momenty, że w samo południe robiło się nagle w pokoju zupełnie ciemno, ściany drżały, przewracały się meble, czekaliśmy w milczeniu, kiedy dom zwali się na głowy — okazało się

potem, że bomba przeorała do samej piwnicy sąsiedni pion kamienicy. Wychodziliśmy z takich opresji ubieleni jak młynarze, dusząc się od pyłu o charakterystycznym odorze zbliżonym do tego, jaki wydziela amoniak.

„Urzędując” gdzie się dało — przez pewien czas mieliśmy swoją bazę w domu przy Marszałkowskiej 81 — robiliśmy dalej to, co do nas należało. Biuletyn PAT-u, redagowany przez Stanisława Ziembę, przekazywał prasie i radiu wiadomości o przebiegu działań powstańczych, o sytuacji w kraju i na frontach wojennych — służba ta była świetnie zorganizowana, podziwialiśmy wszyscy kolegę Ziembę za jego inicjatywę, pomysłowość i odwagę w zdobywaniu wiadomości „z ostatniej chwili”, i to nieraz z odcinków najbardziej niebezpiecznych — natomiast biuletyn, redagowany przez kolegę Roskosza, dostarczał dla prasy i radia materiał o charakterze publicystyczno-literackim. Składały się nań głównie reportaże i obrazki z życia powstańczej Warszawy, i tej walczącej z bronią w rękę, i tej niosącej pomoc rannym, głodującym, bezdomnym, i tej, która zesłała do schronów i piwnic, bo już gdzie indziej żyć się nie dało. Ta reporterka powstańcza była dziełem głównie dwóch naszych koleżanek, ale i ja, gdy byłem wolny od innych zadań, włączałem się do tej roboty.

Janina Wierzyńska Krusche („Ewa”), jedna z najdzielniejszych i pełnych uroku pracowniczek DI, była po kolei łączniczką, maszynistką, redaktorką, oddającą zwłaszcza duże usługi przy tłumaczeniu tekstów, bo dobrze знаła obce języki. W czasie powstania chodziła na reporterskie zwiady w miejsca groźące w każdej chwili śmiercią, m.in. przedarła się kanałami na Mokotów, żeby stamtąd przynieść materiał dla biuletynu. Z początkiem września postanowiła zgłosić się do służby jako sanitariuszka, uważając to za ważniejsze zadanie — idąc na punkt sanitarny przy ulicy Wojciecha Górskiego zginęła od bomby na ulicy Brackiej.

Największy dorobek reporterski spośród nas miała Ewa Szumańska („Bożena”) absolwentka tajnego Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie, która nie była pracowniczką DI, ale w czasie powstania dołączyła do naszej ekipy prasowej i całą duszą zaangażowała się w robotę, w której objawiła nie byle jaki talent. Chodząc z prawdziwą brawurą po mieście, pośród bomb, „szaf”, artyleryjskich „cygar”, przynosiła do redakcji reportaże o wybitnych walorach dokumentalnych i literackich.

W archiwum Stanisława Roskosza, wśród materiałów, które udało się ocalić od zniszczenia, przechowała się spora część

tych naszych reportaży. Z tego, co się uratowało, dałoby się ułożyć jedyny w swoim rodzaju tom na gorąco uchwyconych — pisanych w dniach krwi i chwały — obrazków powstańczych. Chciałbym poniżej zacytować choć jeden z tych obrazków, i to właśnie anonimowy — pisała go któraś z koleżanek pracujących w naszym wydziale propagandy DI, gdzie trudniły się również dorywczo reporterką „Jula”, „Kama”, „Rysia” (nazwisk nie pamiętam). Wydaje mi się, że jest to jeden z najbardziej wzruszających reportaży powstańczych, a ponieważ mówi o tych powstańcach, o których tak mało się wie, warto go przenieść z archiwum na światło dzienne.

### *Głuchoniemi w szeregach AK*

*Ongiś za rycerstwem jadącym na wyprawę krzyżowe ciągnęły szeregi chorych, ułomnych i kalek. Oni także w fanatyzmie swej wiary chcieli walczyć o grób Chrystusowy. Tak samo jest i dzisiaj, w naszej, polskiej krucjacie. Nie tylko kobiety i najmłodsze dzieci wzięły w niej udział pełny — stanęli nawet ci, których los unieszczęśliwił najcięższym kalectwem: głuchoniemi.*

*Niezapomniane wrażenie robi ten jedyny w swoim rodzaju oddział pod dowództwem drużynowego Jojo, który został w tych dniach przedstawiony do awansu za swą niesłychaną odwagę i ofiarność. Umie on już trochę mówić i gdy wstuchać się dobrze, można go doskonale zrozumieć. Mówi chętnie — dumny, że może pochwalić się swoją pracą i swoimi chłopcami.*

*Drużyna pracuje w konspiracji od początku istnienia AK. Zasadniczo była przeznaczona do służb pomocniczych, ale w czasie akcji wykazała, że może walczyć jak inni.*

*— Wspaniały był widok — mówi jeden ze stacjonujących w tym gmachu podchorążych — jak ci ludzie z opaskami na ramionach, z granatami w rękach biegli w pierwszej linii i nie dali się nikomu wyprzedzić.*

*— Albo jak przynoszą nam żywność pod ostrzałem, jak wyciągają spod największego ognia rannych — dodaje drugi.*

*— Drużyna Jojo składa się z 21 ludzi i 2 dziewczynek do pomocy. Między nimi i chłopcami z AK panuje wspaniała komitywa. Głuchoniemi patrzą na wojsko z bezgranicznym uwielbieniem, czujni, oddani — czekają na każde polecenie jak na wyróżnienie osobiste. Kiedy nadchodzi prasa — rzucają się po nią jak po skarb, drużynowy ustawia swoich ludzi i czyta im dzienniki na migi. Mają już wśród siebie ofiary — jeden jest lekko ranny, drugi bardzo ciężko; znoszą swój los z nie-*

bywałym hartem i cierpliwością. Jest także głuchoniemy artysta-malarz. Przez swoje portrety i karykatury rozwesela całe grono. Duchowym przewodnikiem tej grupy jest kapelan, cudo-dny typ księdza o szczerym, wesołym uśmiechu, ubranego w szary kitel i spodnie, zajmującego się w wolnych chwilach od pracy... kolportażem. Głuchoniemi uważają go za ojca i opiekuna, a żołnierze zajmujący ten gmach, mówią o nim z szacunkiem, a równocześnie serdecznie, jak o najlepszym towarzyszu. Cały gmach przepojony jest duchem koleżeństwa i najpiękniejszego braterstwa broni.

Kończymy zwiedzanie placówki udaniem się do wartowni na górę, gdzie głuchoniemi, nieruchomi i skupieni, zastygli nad wycelowanym w stronę YMCI karabinem — patrolują ogród. Jest coś wielkiego i pięknego w bohaterstwie tych ludzi, którzy otrzymali od losu tak mało i nie wahają się rzucić reszty na szalę.

— Bóg nie pozwolił nam słyszeć — mówi drużynowy Jojo — dlatego musimy dobrze natężyć wzrok.

Na pytanie, czy im niczego nie brak, nie potrzeba — odpowiada prosto, po żołniersku, tak samo, jak setki innych, którym zadawałam to pytanie:

— Chcielibyśmy dostać broń.

Kiedy wspominam okres powstania, przeżyty od pierwszego dnia aż po dzień kapitulacji, myślę, że byłem wraz z kolegami z Departamentu Informacji, działającymi w Śródmieściu, w położeniu uprzywilejowanym, a w każdym razie o ileż lepszym od tego, w którym znalazła się większość ludności warszawskiej. Żyliśmy bowiem i działali przez cały czas w wolnej, walczącej Warszawie, Niemców widzieliśmy tylko jako jeńców, prowadzonych z podniesionymi rękami przez naszych chłopców bądź uprzåtających gruzy pod ich nadzorem. Co prawda, przez pełne dwa miesiące, z małymi przerwami, waliły w naszą dzielnicę bomby, pociski artyleryjskie, „szafy”, granaty i czołgi, od których ginęli i nasi koledzy, nasze koleżanki, ale większość przetrwała ten ciężki, a chwilami pełen grozy okres — na wolności, w atmosferze powstańczego entuzjazmu i walki z piórem w ręku, ale przecież walki... O ileż to było lepsze od gehenny obozów koncentracyjnych, która stała się udziałem tysięcy mieszkańców Warszawy, ewakuowanych z zajętych przez wroga dzielnic wprost za druty kolczaste.

Z grupą kilkunastu koleżanek i kolegów z Departamentu Informacji przyłączyłem się do wielotysięcznej rzeszy warsza-

wiaków, która w dniu 5 października opuszczała stolicę — był to jeden z ostatnich terminów ewakuacji. Ogromny pochód skierował się na Dworzec Zachodni, skąd, załadowani do towarowych wagonów, dotarliśmy do Ursusa pod Warszawą, gdzie Niemcy uruchomili nowy obóz przejściowy. Pruszków widocznie już nie wystarczał. Po kilkudniowym pobycie w tym obozie, mieszczącym się na terenach warsztatów kolejowych i chyba jeszcze cięższym do zniesienia niż pruszkowski, koledzy moi wraz z koleżankami zostali wywiezieni transportem w głąb Rzeszy — skąd zresztą, po różnych przygodach i tarapatach, wrócili przed końcem wojny do kraju — mnie jednemu udało się zostać na miejscu. Przyszła mi z pomocą, już po raz drugi w czasie wojny, moja... noga, pokryta szpetnymi bliznami po wielokrotnych operacjach. Tak jak w Stutthofie skłoniła esesmana do przydzielenia mi lżejszej pracy w obozie, tak i teraz, w Ursusie, musiała zrobić wrażenie na niemieckim felczerze, który — na interwencję sanitariuszki polskiej — przydzielił mnie do transportu ludzi chorych, podeszłych wiekiem oraz kobiet z dziećmi. I tym transportem dojechałem w okolice Koniecpola, gdzie miałem wraz z innymi warszawiakami budować okopy, ale stąd już łatwo było wydostać się, nie mnie jednemu zresztą.

Przez Częstochowę i Kraków dojechałem w połowie października do Zakopanego — po raz drugi w tej wojnie ocalały z ciężkich opresji. Oczywiście musiałem się ukrywać nadal mieszkając przez pewien czas u tych samych państwa Zubków, u których się schroniłem przed ucieczką w lipcu 1943 roku do Warszawy. Przerwane na skutek ewakuacji z Warszawy kontakty z Departamentem Informacji zostały szybko z powrotem nawiązane poprzez Kraków, w którym działała już jedna z komórek DI. W porozumieniu z nią zacząłem wydawać w Zakopanem pismo na powielaczu pt. „Odnowa”, w czym pomagali mi pracownicy DI, którzy również dotarli tutaj w tułaczce popowstańczej. „Odnowa” przynosiła głównie komunikaty z wydarzeń na terenie Generalnej Guberni i na frontach, a także obwieszczenia władz podziemnych dotyczące szczególnie obszaru podhalańskiego. Tytuł pisma wywoływał tu i ówdzie komentarze: upadło powstanie w Warszawie, to teraz warszawiacy chcą u nas wszystko „od nowa” zaczynać... Tylko nieliczni ludzie na Podhalu wiedzieli, jaki to „warszawiak” redaguje i wydaje „Odnowę”. Należał do nich płk Kazimierz Piątkiewicz, przedstawiciel Delegatury Rządu w Zakopanem, z którym pozostawałem w ścisłym kontakcie, podobnie jak z wybitnym działaczem Związku Podhalań, ostatnim jego przed-

wojennym prezesem, zaangażowanym czynnie w podziemiu, Henrykiem Walczakiem.

To w porozumieniu z nimi napisałem w grudniu 1944 roku odezwę do ludności góralskiej stanowiącą ostatni już dokument mojej działalności w podziemnym życiu politycznym w czasie ostatniej wojny, mojej służby prasowej związanej z Delegaturą Rządu. Odezwa, powielona w setkach egzemplarzy i rozrzucona po Podhalu, zaczynała się od słów:

*Bracia Górale!*

*Nadchodzi czas. Zbliża się dzień Wyzwolenia. Pełnią się oto słowa: Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Na oczach naszych walą się w gruzy i topią we własnej krwi zbrodnicze Niemcy, na oczach naszych zmartwychwstaje uciemniona Europa.*

*Długo oczekiwana, krwią poległych, męką uwięzionych, krzywdą wysiedlonych, niespotykaną w dziejach gehenną narodu okupiona wolność stoi u naszych bram.*

*Ojczyzna nasza, która pierwsza stawiała czoło nawale germańskiej, walcząc z nią nieugięcie i nieprzerwanie szósty już rok na wszystkich niemal frontach świata, Polska, która przez swą ofiarność, męstwo i bezkompromisowość nazwana została w tej wojnie natchnieniem świata — zbliża się wreszcie ku kresowi swej Drogi Krzyżowej.*

*Bracia Górale! Podhalanie! W przelomowych, decydujących chwilach, w przededniu zasadniczych rozstrzygnięć na naszych ziemiach musimy uderzyć się w piersi i zapytać samych siebie: czy my, górale, zdaliśmy w tej wojnie egzamin narodowy i obywatelski, czy zdajemy sobie sprawę z obowiązków, jakie w najbliższej przyszłości nas czekają i wreszcie, czy jesteśmy do sprostanania im przygotowani?*

*Gdy pamiętnego 1 września 1939 roku Niemcy wtargnęły do naszego Kraju — tysiące górali poszło w bój, by w oddziałach pułków podhalańskich bronić Ojczyzny i ojcowizny tak, jak bronili jej w odległej przeszłości, gdy nieśli pomoc królowi Janowi Kazimierzowi, tak jak bronili jej sto lat temu w bohaterskim powstaniu chochołowskim, tak jak bronili jej i walczyli o nią w Legionach Piłsudskiego z generałem Andrzejem Galicą i padłym na polu chwały pierwszym prezesem Związku Podhalań Tadziakiem na czele. Po zakończeniu kampanii wrześniowej wielu górali przedarło się za granicę, by naprzód w Brygadzie Podhalańskiej, wstawionej w bojach o Narvik w Norwegii, a potem w Brygadzie Karpackiej walczyć za naszą wolność i waszą na wszystkich niemal frontach.*

Jednocześnie tu, w Kraju, tysiące górali i góralek bierze udział w akcji niepodległościowej bądź ją zdecydowanie wspomaga — w wyniku czego najlepszy, najofiarniejszy element góralski ginie w gestapowskich kaźniach i obozach. Nie ma w Rzeszy obozu koncentracyjnego, w którym nie byłoby górali.

Szczególnie zaszczytną rolę spełniła w tej wojnie młodzież góralska, która walkę podziemną wyniosła na szczyty tatrzańskie, oddając w ciężkiej pracy kurierskiej wszystkie swe siły łącznie z życiem, dla Polski. Udział narciarzy podhalańskich w tej akcji to najpiękniejsza karta w historii sportu polskiego.

Tak więc w najcięższych chwilach naszej Ojczyzny, w najtragiczniejszym okresie jej dziejów, jakim jest obecna straszna wojna i okrutna okupacja niemiecka — lud góralski w olbrzymiej swej większości trwał mężnie i ofiarnie na posterunku narodowym, ponosząc na równi z rodakami z innych dzielnic ogromne ofiary z życia i mienia dla Polski i w imię Polski.

Po stwierdzeniu, że olbrzymia większość ludu góralskiego nie miała nic wspólnego z akcją Goralenvolku, zdradzieckim dziełem wykolejonych jednostek, które za to poniosą pełną odpowiedzialność, pisałem:

### Górale i Góralki!

Nieodżałowanej pamięci pierwszy proboszcz zakopiański a ludu góralskiego wielki dobrodziej i wychowawca, ksiądz Stolarczyk, zwykł był mawiać: „Duch ludzki nie da się złamać jak kij na kolanie”. A cóż dopiero duch góralski, który z natury swej jest duchem twardym, wyrosłym na twardej, skalnej ziemi i przez twarde życie urobionym. Wojna obecna, niosąc ze sobą straszliwy terror ze strony okupanta, nie załamała — pomimo pięcioletnich mordów, egzekucji, obozów, łapanek i głodu — ducha narodu polskiego. Nie załamała i nas, górali, którzy narodu polskiego jesteśmy południową, tatrzańską strażą.

To zaś, że w obecnej ciężkiej próbie dziejowej poznaliśmy sami siebie do gruntu i przekonali się, gdzie wśród nas rosną plewy i gdzie krzewi się chwast, pozwoli nam tylko wyplenić i wyrwać z podhalańskiej ziemi wszystko zło i wszystką gangrenę, pozwoli nam uzdrowić nasze góralskie dusze i przywrócić Podhalu dawną jego chwałę.

Wojna zbliża się ku końcowi. Niemcy giną, a Polska powstaje.

Zanim jednak na ziemi naszej zapanuje wolność, spokój

*i ład — przeżyć musimy jeszcze wiele ciężkich chwil. Czekają nas jeszcze w najbliższej przyszłości twarde losy. Cofający się pod naporem armii sowieckiej, atakowany przez żołnierzy Armii Krajowej Niemiec będzie usiłował jeszcze w ostatniej chwili niszczyć żywioł polski i grabić nasz majątek narodowy tak, jak to czyni obecnie na terenach przyfrontowych. Niezależnie od tego same działania wojenne, przewalające się znowu poprzez ziemie nasze, powodują olbrzymie zniszczenia i straty zarówno w ludziach, jak i dobytku.*

W ostatnich ustępach odezwy, nawołującej do walki z okupantem hitlerowskim w szeregach Armii Krajowej i do podporządkowania się władzom podziemnym Delegatury Rządu apelowałam:

### *Bracia Górale! Podhalanie!*

*W ciężkim, choć opromienionym już świtającą jutrzeźką wolności okresie, w końcowym etapie naszej niewoli, w przededniu odrodzenia się Polski Wolnej i Niepodległej, obowiązkiem naszym jest:*

*(...) Niszczyć i osłabiać siły okupanta w każdej dziedzinie życia.*

*Pamiętać stale o tym, że hitlerowskie Niemcy miały, mają i mieć będą jeden tylko cel: całkowitą zagładę i wyniszczenie narodu polskiego. Rzekome łagodzenie kursu wobec Polaków (przy równoczesnym ich mordowaniu i niszczeniu) oraz próby tworzenia wspólnego frontu — to tylko ostatnie zdradzieckie podrygi dogorywającej bestii hitlerowskiej.*

*(...) Unikać lekkomyślnego narażania życia, gdyż Polska poniosła w tej wojnie tak wielkie straty jak żaden naród.*

*Udzielać jak najszerszej pomocy ewakuowanym, pozbawionym środków do życia! Szczególnie rodakom bohaterskiej Warszawy, którym winniśmy otworzyć na oścież nasze serca i domy.*

*żyć, walczyć i pracować w zgodzie oraz w jedności narodowej. Wszelkie spory i walki partyjne muszą zmiłknąć i ustać wtedy, gdy chodzi o sam byt, o egzystencję narodu.*

*Na nas zaś, góralach, ciąży jeszcze jeden obowiązek: w nadchodzących przełomowych chwilach musimy swą postawą i swoimi czynami wykazać, że w sercach nas wszystkich panuje niepodzielnie Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska, a ziemia, którą zamieszkujemy, to wiecznie polska ziemia podhalańska.*



W dniu 29 stycznia 1945 roku radzieckie oddziały I Armii Gwardii wkroczyły do Zakopanego, które Niemcy opuścili w pośpiechu i bez walk, nie zdążywszy nawet poczynić większych zniszczeń. Byłem tego dnia w rodzinnym moim mieście i razem z jego mieszkańcami przeżywałem radość pierwszych godzin wyzwolenia.